

MADWIGA MIGOWA.

PANTERKA

(Powieść współczesna).

— Głupia nie głupia, bo to teraz grube pieniądze kosztuje!... ale nie o to mi chodzi, tylko kto ten koniak wypił? bo przecież nie ty sama!...

— E! nie zawracaj mi głowy!

— Kogo ty przyjmujesz, kiedy mnie niemal!...

— Nudzisz mnie!...

— Nudzę!... nudzę!... ale przedtem toś inozej śpiewała!... ja nie pozwolę „strugać” ze siebie waryata!... Za co ty mnie właściwie masz?!

— Za durnia!... — wypaliła bez namysłu.

Babeł zgryźliwa zębami, hamował jednak jeszcze gniew.

— Słuchaj!... Stef!... ty mnie tak nie drażń, jak psal!... Moja żona nigdyby się nie ośmieliła tak mnie dyfamować!...

— A to sobie wróć do żony!... czy ja cię to trzymam? — odrzuciła z taką pewnością siebie, jakby mówiła o rzeczy zgoła nieprawdopodobnej.

— Aha!... wróć!... dobrze ci teraz mówić!...

— Proszę pana, śniadanie na stole! — krzyknęła Marcysia przez drzwi.

— To doskonale!... bom głodny jak wilk!... Chodź, Stefciu, zjemy razem!...

— Jedz sam.

— No, chodźże, nie kaprysuj się!...

— Nie chcę!... Daj mi święty spokój!...

— A niech to wszyscy dyabli!... — zaklął i zamknął drzwi za sobą z trzaskiem.

Stefa wykrzywiła wargi pogardliwym grymasem:

— Uuuu! — ziewnęła i podłożywszy obie ręce pod głowę, przeciągała się leniwie.

— Nuudyl!... psiakrew nudyl!...

Podeszła do okna i bezmyślnie spoglądała na ulicę, skapaną w promieniach przedwiosennego słońca... Oczy jej miały w tej chwili wyraz beznadziejnie tępy!...

Nagle drgnęła, ożyła się — żrenice zamigotały zielonymi, fosforycznymi ognikami, jak zawsze u Stefy w momentach wzruszenia. Wśród przechodniów dojrzała smukłą postać męską, stającą pewnie a elastycznie... Ciemny kapełusz o lekko wywiniętych brzegach ocieniał twarz o nieskazitelnym profilu!...

Wyciągnęła ręce w porywie rozbudzonego pożądania:

— Rom!... Rom!... jedyny!... najpiękniejszy!... jak ja go już dawno nie widziałam!...

— Stef!... Stefciu!... — Babel wsunął się niepostrzeżenie do pokoju i przystanąwszy z tyłu za Stefą, dotykał wargami, na których pozostały okrąski szynki i smak piwa, obnażonej szyi. Niższy od Stefy, wyciągał śmiesznie głowę. Odskoczyła, zapominając o wszelkiej przeczności, przejęta nadmiernym wstętem.

— Odczep się!...

ROZDZIAŁ XVI.

— A co, ładne? nieprawdaż?... dystyngowane!... renesansowe!...

Terenia Woźniewiczówna parsknęła krótkim, przyciszonym śmiechem, jak to się już nieraz zdarzało przy rozmaitych „dystyngowanych” i „inteligentnych” powiedzeniach przyszłej bratowej. I teraz, gdy Kazia batystowy szlafroczek, bardzo zresztą ładnie kolorowymi jedwabiami wyhaftowany — nazwała ni stąd ni zowąd „renesansowym”, 15-letnia, zamilowana historyczka nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

Kazia przygryzła wargi, a Woźniewiczowa zagrzmiała spojrzeniem Terenę, która, wpakowawszy sobie pół piaski w usta, usiłowała stłumić wesołość, chociaż swywołne iskierki migotały w jej bystrych, bławatkowych ślepkach.

— Bardzo ładne — odparła matka Juliana, oglądając szlafroczek — czy jednak ta twoja wyprawa, moje dziecko, nie jest trochę niepraktyczna? Może za dużo luksusowych rzeczy, których przy skromnych warunkach bytu nawet nie będziesz miała sposobności użyć, a za mało koniecznych, niezbędnych?

Kazia, nie znośząca krytyki i oporu, zmarszczyła niechętnie brwi.

— Wszystko się zrobi — mruknęła, składając trząskliwie stroik z batystu i koronek — przede wszystkim estetyka i intelektualizm!...

— Terenia zerwała się i wybiegła z pokoju, aby się nie roześmiać znowu. Woźniewiczowa

wzruszyła lekko ramionami. Przywykła już do górnolotnych, najniestosowniej przypinanych określeń narzeczonej Julka i chociaż nie przestawało to razić jej, kobiety wykształconej i prawdziwie inteligentnej, nie chciała zwracać uwagi, wiedząc, że nie przyda się to na nic, a wywoła tylko niemiłe rozdzwięki. Wogóle pomiędzy starą Woźniewiczową a Kazią panował stosunek obojętny, ale poprawny — daleki od szczerości i serdecznej przyjaźni, ale wolny także od kłótni i zażargów, głównie dzięki faktowi i delikatności matki Juliana, która, przekonawszy się, że syn dał się „złapać” i nie potrafił się wycofać — zrezygnowała ze wszelkich, właściwych najlepszym nawet matkom, machinacyach w takich sytuacjach. Przyszła synowa pod żadnym względem nie odpowiadała ideałowi żony, jaki sobie wymarzyła dla jedynaka, ale życie twarde, pełne cichych a ciężkich walk i bolesnych rozczarowań, nauczyło Woźniewiczową, że marzenia prawie nigdy nie spełniają się, zwłaszcza ludziom, nie umiejącym łokciami i pięściami torować sobie nowych dróg... Zrezygnowała też z dawnych ambitnych wojen, jakie snuła, myśląc o przyszłości syna... Zrozumiała, że on jest za skromny, za słaby, za cichy... Pozostanie zawsze pracownikiem pożytecznym ale niedocenionym, szarym, jednym z wielu... A więc i żona jego nie może być, nie będzie księżniczką z bajki... Byleby to tylko była jakaś uczciwa, dobra i delikatna kobieta, któraby biednemu Julkowi nie zatrula życia!...

Co prawda, Woźniewiczowa miewała nieraz pewne wątpliwości co do dobroci i łagodnego usposobienia Kazi... W symfonii karmelkowej słodczy pochwytywała nuty zgryźliwości i złośliwego egoizmu. Ogarniała ją wówczas lęk, ale nie mogła sformułować żadnego pozytywnego zarzutu, bo Kazia zachowywała się wobec Juliana i jego rodziny z taką uprzedającą i nadskakującą grzecznością, że raczej nadmiar ckiego pochlebstwa mógł razić i drażnić.

Kilkakrotnie interpelowała Woźniewiczową o jej hrabiowski tytuł panieński. Upajała ją myśl, że będzie synową prawdziwej hrabianki.

— Mamciu — zapytała pewnego razu — czy mąż mamci, ojciec Julka, był także z arystokratycznej rodziny?

— O! nie... pochodził z mieszczańskiej rodziny, bardzo zacnej... Wysłał za niego wbrew woli rodziny, która poza tem mało troszczyła się o mnie... Byłam sierotą i nie miałam posagu... Ale dlaczego o to pytasz?...

— Tak sobie... Julek to zupełnie podobny do mamci, tak subtelny, dystyngowany — intelektualny!...

Woźniewiczowa uśmiechnęła się:

— Dziękuję ci za komplementy — wyrzekła żartobliwie — muszę ci jednak zwrócić uwagę, że mąż mój nie był także ani gruboskórny, ani źle wychowany!...

— Ach! naturalnie... naturalnie!... ja wiem, że to był człowiek wysoce kulturalny i indywidualny... tylko ja tak myślę, że Julek miałby właściwie prawo nazywać się hrabią!...

— Cóżby mu z tego przyszło?... Ośmieszylby się tylko.

Kazia westchnęła cichutko i nic nie odpowiedziała. Powzięła jednak mocne postanowienie, że po ślubie sprawę tę załatwi.

Terenia wyraźnie nie lubiła narzeczonej brata, a w swej szczerości, napół dziecięcej jeszcze, nie umiała dobrze maskować swej niechęci. Matka gromiła ją za to:

— Tereniu — upominała — nie jesteś dosyć uprzejma dla Kazi!...

Dziewczynka wydymała usteczka:

— Bo ja jej nie lubię mamusi!...

— Choćbyś jej nawet nie lubiła — nie wypada tego okazywać!... A zresztą dlaczego jej nie lubisz!...

— Ona taka śmieszna, nadepta, sztuczna... Tak mówi nieraz nie do rzeczy i tak się jakoś czasem niedobrze popatrzy!... Ja wcale nie jestem zadowolona, że Julek ma się z nią żenić!... On to ma też gust: naprzód ta „panterka”, a teraz ta subtelno-indywidualno-renesansowa — komycznie naśladowała przesadny sposób mówienia Kazi.

Matka z trudem powstrzymywała uśmiech, ale rzekła surowym tonem:

— Proszę cię, abyś na przyszłość powstrzymała się od tego rodzaju uwag, a przede wszystkim, żebyś nie zestawiała narzeczonej Julka z tą jakąś „panterką”.

„Panterka” była właściwie najsilniejszym atu-

tem Kazi u Woźniewiczowej. Ilekroć bowiem ta pomyślała sobie, że syn mógłby wprowadzić pod swój dach jako żonę — taką łączkównę — Kazię ze wszystkimi wadami i śmiesznościami urastała niemal do wyżyn ideału. Każda inna, choćby najbiedniejsza, najbrzydsza — byle tylko nie tamta — byle tylko nie „panterka”!... I dziwna rzecz, matce Juliana zdawało się ciągle, że cień Stefy majaczy — groźny, drapieżny i lada chwila panterka chwyci swą ofiarę w ostre szpony, z których ją chwilowo wypuściła!... Niepokoili ją częste, tępe zamyślenia syna, kiedy wzrok Julka stawał się błędny jakiś i szedł poza ściany cichego mieszkania poprzez siwą głowę matki i białą twarz Kazi. Niekiedy Julek zamykał się w swoim pokoju i nie chciał się z nikim widzieć. Pewnego dnia, gdy przyszedł na obiad z biura, Terenia powitała go okrzykiem:

— Wiesz? była Stefa u nas!...

Anemiczna cera młodzieńca zabarwiła się falą krwi, kolorując rubinowo nawet czoło, skronie i uszy!...

— Stefa?... ja... jaka Stefa? — wyjąkał zdławionym głosem.

— No, Stefa Kacka — naturalnie!... — była to kuzynka Woźniewiczów. — Ślicznie wygląda, wychodzi niedługo za mąż!... Ogromnie żałowała, że ciebie nie zastała w domu!...

— I ja także bardzo żałuję!... — mruknął Julek, którego oczy na chwilę rozbiły się szaloną nadzieją, przygasły znowu, a twarz przybrała dawny odcień blado-żółtawy. Po chwili oświadczył, że nie jest głodny, obiadu jeść nie będzie i wyszedł do swego pokoju, nie dopuszczając żadnych protestów ni perswazyi.

Woźniewiczowa tego samego wieczoru konfiterowała długo i serdecznie z Kazią o przyspieszenie terminu ślubu i wyraziła życzenie zapoznania się z jej rodziną, chociaż dotychczas chwilę tę odsuwała od siebie pod różnymi pozorami.

Moment ten przypominał się Woźniewiczowej. Pieszczotliwie pogłaskała Kazię po ciemnych, starannie ondulowanych włosach.

— Pogadamy sobie jeszcze o szczegółach wyprawy!... Chciałabym i ja czemś przyczynić się do stworzenia waszego gospodarstwa!... Co to za szczęście, żeście znaleźli mieszkanie!...

— To ja znalazłam mamciu — uśmiechnęła się z zadowoleniem — Juleczek nie umie się troszczyć o takie codzienne *idylliczne* rzeczy!... Ale on jakoś spóźnia się dzisiaj!... Powinien już być!...

Woźniewiczowa spojrzała na zegar:

— Istotnie już po ósmej!... Gdzie się ten Julek obraca?

Terenia wsunęła jasną główkę przez uchylone drzwi.

— Czy można już podawać kolację? Pierozki gotowe!...

— Jeszcze niema Julka!... Poczekamy na niego.

— Żeby tylko prędko przyszedł, bo się pierozki przestoją! Nieznośny ten Julek! — irytowała się dziewczynka, ogromnie drażliwa na punkcie swych kulinarnych ambicji.

— Z pewnością zaraz przyjdzie!...

— Ale gdzie on może być? — rzuciła z cicha Kazia, a brwi jej przyczernione ołówkiem, poczęły drgać nerwowo.

Woźniewiczowa, chcąc skrócić czas czekania, zasiadła do starego rozstrojonego pianina, przypominającego kształtem i tonem staroświecki szpinet i zaczęła grać jakiegoś sentymentalnego walczyka z czasów swej młodości. Terenia, namiętna zwolenniczka walca, odrazu ją wykonywać taniec solowy!... Zapraszała wprowadzić Kazię, ale ta nie była usposobiona do tańca, chmurna, zniecierpliwiona, szarpała machinalnie koronkę u bluzki, gryzła wąskie wargi i co chwila spoglądała na zegar!...

Woźniewiczowa po walcu zagrała „Reveil du lion”, przypomniawszy sobie ze swego dawnego repertuaru „Carneval de Venise” i rozkołysała poódkie klawiszowe rzewną dumką ukraińską. A Julek nie zjawiał się!...

Terenia śmiała, okręcała się wkoło, jak młode, rozswywołone ptaszę, aż wreszcie i ona zwróciła spojrzenie ku tarczy zegara i zawołała rozpaczliwie!

— Pierozki na nic!... a Julka niema!...

Zegar wydzwonił godzinę dziewiątą. Matka przesiadła grać, Kazia podniosła się z fotelu. Na twarzach obu kobiet znać było silne zaniepokojenie.

— Czyżby mu się co stało? — szepnęła Woźniewiczowa, blednąc na samo przypuszczenie.

(Ciąg Dalszy Nastąpi).